

FREKWENCJA 350

TOM 3

UKRYCI MENTORZY



Aleksandra Fila

FREKWENCJA 350

TOM 3

UKRYCI MENTORZY

Aleksandra Fila

Space
BOOKS

ZEBRAŁEM DANE

Korwetta rozstała się z Robertem na placu pokazowym Akademii Astronautyki. On poszedł pełnić obowiązki Szefa Bezpieczeństwa w budynku zwanym zbrojakiem, ona udała się do gmachu dydaktycznego. Nim weszła do bufetu, poprawiła w łazience makijaż, którego sporą część wtarła w mundurową bluzę Roberta. Przed godziną próbowali w jego samochodzie zniwelować rozpuszczalnikami te czarne zacieki. Niestety i tak zostały ciemne plamy. Wiceadmiral je ignorował, wracając szybko do pracy. Skupiał uwagę na drodze i na oświadczeniu dla mediów – na tyle pilnym, że nim dotarł na AcAs, już układał je w głowie.

W bufecie było dziś pusto. Korwetta zamówiła musakę w wersji wege. Po trzymiesięcznej diecie glonowej wciąż fascynowały ją bakłazany zapiekane z soczewicą. To był dopiero jej czwarty dzień na Ziemi... Gdy doniosła do stolika parującą misę warzyw, nieoczekiwanie tuż obok pojawił się Adam Neo.

– Miło cię znów widzieć! – rzucił wesoło i zaraz się do niej dosiadł. – Czy dziś jest dobry czas na oglądanie uldryjskiego statku?

Zanurzyła łyżkę w gulaszu z bulgoczącym sosem i posłała mu uśmiech. Jej też miło było go widzieć z tą jego chłopięcą naturalnością.

– Może być – odrzekła, przełykając gorący *ratatouille*. – Ale Cothley donosi, że oni nie wrócili jeszcze na statek – sprostowała po chwili. – Chcę w międzyczasie poćwiczyć w gymie, bo już mi tego brakuje.

– A gdybym tak poczekał i poćwiczył razem z tobą? – zapytał zaraz. – Mógłbym cię na przykład asekurować – dodał przymilnie.

Korwetta zerknęła spod zmrużonych powiek na tego młodziaka, który miał już całkiem męski wygląd – bardzo atrakcyjny bez dwóch zdań. Pełnokrwisty Adaś Bryniarski, o policzkach zarumienionych wiosennym słońcem, emanował witalnością. Tylko te ciemne oczy miał dziś niewyspane... Na pewno był sprawny fizycznie, a i asekurować mógłby.

– No dobra – odrzekła. – Tylko daj mi zjeść. Choć to może nie najlepszy pomysł przed gymem.

– Ja też coś zjem – podchwycił zaraz.

Podszedł do lady bufetu. Po chwili wrócił stamtąd ze smażoną rybą i surówkami.

– I co, udała się narada z admirałem Holdem? – zapytał, siadając naprzeciw niej.

– Nad wyraz – odparła. – Co nie zmienia faktu, że przed twoim ojcem teraz trudne zadanie. Siedzi pewnie głodny w swojej kwaterze i pisze oświadczenie – przypomniła sobie.

Adam odchrząknął, chcąc podjąć temat, ale ona szybko położyła palec na ustach.

– A czemu ojciec nie przyszedł zjeść tutaj? – zadał pytanie oboczne.

– Pewnie pochłonęło go pisanie – wydedukowała. – Albo nie chce pokazywać plam na mundurze po moim makijażu – przypomniła sobie.

I zaraz ugryzła się w język, ale uznała, że plamy i tak zobaczą domownicy Roberta. *Przynajmniej młody będzie znał prawdziwą wersję zdarzeń*, pomyślała.

Adam tymczasem przyjrzał się jej z uwagą i zapytał:

– A na której części munduru?

– Nie na tej, co myślisz! – wypaliła. – I co to za sugestie, szczyłu jeden!?

Brwi Adama uniosły się wysoko.

– Nie zrobiłem sugestii – odrzekł słodkim tonem. – Zapytałem niewinnie, ale uderz w stół... – Spuścił zaraz oczy pod jej karcącym spojrzeniem. Po chwili podniósł wzrok pełen udawanej pokory, ale kąciaki ust drgały mu podejrzenie.

Przypominał jej skarconego spaniela. Widząc jego minę, również nie zachowała powagi.

– To są plamy po incydencie z moimi łzami, jakbyś chciał wiedzieć – skwitowała już lekko. – Jestem znana z tego, że zalewam się nimi, gdy rosną emocje.

– Oczywiście! – Przytaknął trochę zbyt gorliwie. – A o ojca się nie martw. Dostarczą mu coś ze stołówki oficerskiej, jak znam tutejsze układy.

I zmarkotniał nie wiedzieć czemu. Przełknął spory kęs ryby, po czym oznajmił:

– Odrobiłem lekcje. Wiem, kim dla siebie byliście i ile miałaś lat. – Odszukał coś w telefonie i zwrócił ekran w jej stronę.

Korwetta zamarła. Tego się nie spodziewała. Zobaczyła swoją osiemnastoletnią fizys w kwaterze Holda, gdzie ścienny ekran pokazywał mostek kapitański Geysera. Ożyła w niej nagle tamta chwila. Dotarło do niej ze wzbudzonego w tkankach echem, jak młody wówczas Robert mówi: „Za chwilę tego nie wytrzymam, admirale” i zaciska oczy. Hold proponuje nieśmiało: „To może niech pan ją weźmie, przyda się uldryjska konsultacja”. Radość podrywa ją z fotela, ale słyszy od Roberta: „Ona ma żyć, admirale”. Wtedy traci wiarę. Próbuje jeszcze przekazać wiadomość z Uldri: „Zostawcie kryształ na Ziemi!”, ale nikt jej nie słucha. Z resztką nadziei woła do świeżo powołanego dowódcy misji, a zarazem jej partnera, odlatującego w nieznane: „Zabierz mnie! Razem jesteśmy silni! Tylko razem!”. W odpowiedzi słyszy kategoryczne, choć ciężkie od hamowanych łez: „Nie ma mowy!”. Potem już tylko błaga, szlochając: „Zabierz mnie!”, a po jego słowach: „Pamiętaj, że cię kocham” i „Dobrze wykorzystaj dany ci czas” zapada bezwładnie w fotel i popada w letarg.

Teraz zabrakło jej słów. Wbiła w Adama pełen pretensji wzrok.

– Jak to zhakowałeś, młody? To przecież tajne archiwum! – wykrztusiła.

– O to nie pytaj, potrafię – odpowiedział, a w jego oczach odczytała coś na kształt współczucia. – Naprawdę przykro mi – dodał, widząc, że łza wymknęła jej się spod powiek. – Już to zabieram. – Cofnął dłoń z telefonem. – Nie chciałem, kretyn ze mnie. No bo jak ty możesz to oglądać, kiedy mnie nawet rozwała...

Uspokoila się. Przynajmniej z wierzchu. Ale znów straciła głos. Widziała, jak chłopak się waha, czy położyć dłoń na jej dłoni, i jak w końcu cofa ją z obawą.

– Z rodziną Bryniarskich to ja się chyba odwodnię od ciągłego płaczu – odezwała się w końcu. – Wiesz co, pożartuj lepiej o babci! – Spróbowała się uśmiechnąć.

– Babcię też namierzyłem – odrzekł poważnie. – Wiem, co się stało.

– To pracowita noc miałaś. Coś jeszcze znalazłeś?

Skinął głową i nabrał powietrza.

– No, trochę materiału sprzed odlotu Geysera, na przykład o samobójstwie tej dziewczyny. Georginy Voit, prawda? – Począł, aż ona skinie głową. – Jak broniłaś wtedy ojca... A wcześniej z tego słynnego Zespołu Eksperymentalnego, gdzie wyglądasz jak dzieciak, razem z komandorem Wardynem i Boenim... No i odnalazłem pierwsze oficjalne łądowanie Uldryczyków! – podkreślił z triumfem. – To mocny materiał, teraz trudno dostępny...

Czekał na jej komentarz, ale się nie doczekał.

– Ciebie pewnie to zdziwi, ale ja nie wiedziałem, co ojciec wtedy zrobił. – Spojrzał jej w oczy. – Od tego zależało, czy Cothley przeżyje, a on to zrobił dla ciebie – zawiesił głos, jakby zawstydzony. – No i widziałem, jak uderzył matkę! – Pokręcił głową. – Jedyń raz!

Korwetta skrzywiła się mimo woli.

– To też się gdzieś zachowało? – Zdziwiła się szczerze. – Przepraszaj ją potem publicznie...

Twarz Adama nabrała wyrazu przebiegłości.

– Oficjalnie się nie zachowało, ale jeśli wiesz, gdzie szukać, to znajdziesz – skomentował. – Przejrzałem też późniejsze sesje z Uldryjczykami, które tłumaczyłaś... Sam się sobie dziwię, że się tym wcześniej nie zainteresowałem! To znaczy, wiedziałem, że niejaka Korwetta Burcharde, zmodyfikowana genetycznie przez Uldryjczyków, agitowała wraz z nimi za obecnością kryształów w naszej Akademii... No i że przez to rodzice lecieli Geyserem na misję, a skończyli na Granadi. A potem ona odleciała w kosmos na uldryjskim statku. Tak to było przedstawiane w szkole, a później nie lepiej tu na AcAs – przerwał, gdyż dostrzegł wyraz niechęci na jej twarzy. – A ja nie drążyłem tematu, nawet nie wiem czemu – dokończył.

– A od ojca nic o tym nie słyszałeś? – Nie kryła zaskoczenia.

– No właśnie nie – odparł. – I może to milczenie ojca mnie powstrzymywało. Bo czułem, że on nie chce mówić o kontaktach z Uldri, jakby snuła się nad tym jakaś czarna mgła.

Korwetta pokręciła głową z niedowierzaniem.

– No, a co mówi matka, też bohaterka bitwy o Ziemię? – zagadnęła z nutą sarkazmu.

Adam zastanawiał się przez chwilę.

– Matka o samej bitwie mówi bardzo chętnie – zaczął. – Chętnie wspomina też nasz czas na Granadi. Ale przy temacie Uldryjczyków wzdycha z niechęcią, jakby zalaływało od nich jakąś zdradą.

Korwetta nie zdołała teraz ukryć wyrazu pogardy.

– A o tym, że to właśnie Uldryjczycy uratowali dupy załodze Geysera, interweniując przez Federację Galaktyczną, to ci nie mówili? – nie wytrzymała. – Że bez udziału Uldri rodzice albo zginęliby w wybuchu statku, albo wessałby ich dodekaedr Vancruso? O tym naprawdę ci nie wspomnieli? – Pokręciła głową. – I o tym, że Cothley z Tragerim natychmiast porzucili swoje zadania, żeby was przywieźć z Granadi na Ziemię? – Nie chciała już się zatrzymać, choć coś mówiło jej, że powinna być bardziej uważna. – Po tym bezsensownym wywożeniu

kryształu stąd?! – zakończyła wzburzona, zdając sobie sprawę, że część z tych danych była tajna.

Adam wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany.

– Federacja Galaktyczna? – powtórzył z niedowierzaniem. – To ona faktycznie istnieje? I bezsensowne wywożenie kryształu? Opowiedz mi o tym!

Korwetta ochłonęła. Skoro Robert utrzymywał tajemnicę przed synem, to ona też chyba powinna.

– Racja, Adamie Neo, Federacja istnieje – odezwała się. – I tę prawdziwą skopowano wyrywkowo do *Star Treka*. – dodała. – Ale to nie jest jawne dla Ziemi. Rozumiesz, pierwsza dyrektywa. Tylko sztaby szkół gwiazdnych znają temat. – Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, bo energicznie kiwał głową, wdzięczny za dopuszczenie do konspiracji. – A o kryształach opowie ojciec w swoim oświadczeniu. Odłóżmy temat do jutra.

Adam przytaknął ze zrozumieniem. Pozbierał naczynia ze stołu, także te Korwetty, i odniósł je na tacy. Po chwili wrócił z dwiema butelkami wody mineralnej i jedną podał pani porucznik. Gdy wstali od stołu, przyjrzał się jej niebieskiej sukience, która podkreślała figurę.

– Kobieco dziś wyglądasz, nie militarnie – rzucił z uśmiechem.

– Ale jakże niemodnie – odpowiedziała.

– Całe szczęście! – zareagował natychmiast.

Ruszyli razem do gymu.

WYMIARY

Uldryjczycy odłączyli urządzenia nasłuchowe od platyno-irydowych nadajników. Cothley dał znak odwrotu. Trzej członkowie koryfu szybko wynurzyli się z rozpadliny, która skrywała urządzenia niejasnego pochodzenia. Unieśli się w powietrze, w pełni maskując ciała. Nie wy-czuli dziś w pobliżu tajemniczej fregaty, która zaskoczyła ich tu ostatnio. Zniknęła na dobre po nietypowej misji rozpoznawczej.

– Czy to znaczy, koryferze, że twórcy tych nadajników, jako isto-ty czwartego wymiaru, stoją wibracyjnie wyżej niż ludzie? – zapytał Rapihah.

– Nie, Rapi – odrzekł zaraz Cothley. – Trzeci wymiar narzucony na tę wersję Ziemi jest formą matrixa. – Przyspieszył lot w suchym ziemskim powietrzu. – Pewnie cię to zaskoczy, ale ludzie są piątowy-miarowi. Tylko pozbawieni pamięci o tym, przyjęli zaprojektowane tu ograniczenia, w postaci warunków trzeciej gęstości. Niejako na własne życzenie – przerwał, gdyż dostrzegł zdziwienie u obu towarzyszy, któ-rzy odruchowo zwolnili. – Ale potem często brak im było mocy, by się z tego wyrwać – rzucił w ich stronę. – Rozumiecie: wyuczona bezrad-ność. Teraz podtrzymują tę iluzję swoimi przekonaniem.

Tragueri przyspieszył i dogonił przyjaciela w locie.

– A kto dla nich zaprojektował ten matrix? – zapytał zaraz. – Ci od nadajników?

– Tego właśnie nie jestem pewien – odrzekł Cothley. – Musimy się temu bliżej przyjrzeć.

Teraz Rapiłah nadał tempo błonom lotnym i zbliżył się do dowódcy.

– Jeśli więc ludzie znają rzeczywistość piątej gęstości, to musi być im ciężko w trzeciej tak jak nam, prawda? – zapytał.

– Tak – odparł koryfer. – Choć wielu z nich jest niemal gotowych do przejścia. Ale ich okupant robi wszystko, żeby do tego nie dopuścić, kimkolwiek naprawdę jest. – Czuł rosnące zainteresowanie towarzyszy. – Skądinąd ludzie tak bardzo przyswoili sobie tutejsze warunki, że ich percepcja mocno się zredukowała – dodał.

Cothley znowu przyspieszył, a jego towarzysze wyczuli, że jacyś goście zapowiadają się dziś na bolidar. Rapiłah zrównał się z dowódcą, by kontynuować temat.

– Ludzie nie widzą nawet w pełni naszych ciał – powtórzył znany fakt. – A czy Korwetta, która je widzi, przeszła już z trójki do piątki? – kontynuował.

Cothley teraz zwolnił, by utrzymać się w powietrzu między Traguerim i Rapiłahem. W dole widział ujście zielonkawej rzeki do ciemnego morza.

– Nie w pełni, Rapi – odrzekł. – Na razie uwolniła się z niewielkiej części iluzji. Choć na Uldri funkcjonowała już mocno w naszych rejestrach.

Rapiłah zamilkł, za to odezwał się Tragueri:

– Zostawisz ją tu na Ziemi, Coth?

Cothley machinalnie zniżył lot. Dobrze widoczna teraz rzeka odsłoniła swoje piaszczyste dno, a spienione, morskie bałwany rosły w siłę.

– A co innego mogę zrobić? – odpowiedział po chwili.

Tragueri skomentował myślą:

Jasne, to rozsądne. – Skierował uwagę ku ludzkim domostwom z ogrodami na dachach. Były dość finezyjne, urokliwe, przyciągały wzrok kolorami. Pobudzony myślowo Rapiłah nie dawał za wygraną.

– A gdyby zdołała porzucić te wpisane tu ograniczenia? – kontynuował. – Mogłaby wtedy żyć na Uldri?

Cothley zamilkł, jakby rozważał to raz jeszcze. Wchłaniał ciepłe promienie ziemskiego Słońca, które schodziło już z nieboskłonu. Widział, że od strony Sollandu szybko nadciągają chmury, zwiastujące przelotny deszcz.

– Musiałyby na raz przekroczyć bardzo wiele – zaczął po chwili. – Najpierw dramatycznie silną część ziemskiego matrixa, związaną z szybkim starzeniem i umieraniem. Potem tę o odżywianiu i w ogóle funkcjach ciała. No i jako jedynej jednopłciowej ciężko by jej było wyrzec się ziemskich zbliżeń. Nie da z tym wszystkim rady, o ile większość ludzi nie zmieni wibracji. No i jest naszym łącznikiem z Ziemią, więc zabranie jej stąd nie byłoby korzystne.

Przyspieszył znowu, bo wiedział, o co teraz zapyta Rapiłah. Przez chwilę delektował się dotykiem promieni o barwie czerwonej, które przeszywały grubszą warstwę atmosfery.

– Wyrzec się ziemskich zbliżeń? – Tryfer znalazł się obok niego. – A czy ty sam czasem nie zacząłeś ich pragnąć, koryferze? – wypalił. – I czy kierunek rozwojowy w tym przypadku nie jest akurat odwrotny, jak sugerowało wasze spotkanie z Tulmi?

Cothley nie zamierzał unikać tematu.

– Owszem, odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: tak, Rapi. Na drugie: tak mi się wydaje. – Przekazał to myślą też do Tragueriego. – Jest i pytanie trzecie: czy taka bliskość niesie ryzyko znacznego bólu? – dodał. – No i tu, niestety, odpowiedź również brzmi „tak”.

Słuchacze pojęli, co Cothley ma na myśli. Zamilkli na długą chwilę, zbliżając się do Sollandu. Szybowali teraz z rozkoszą po wciąż bezchmurnym niebie, choć wiedzieli, że wkrótce dopadnie ich deszcz. Chłonęli śladem kapitana barwną radiację niepozornej gwiazdy Mahabor, obcując z nią na łonie natury, którą tu zrodziła.

– Coraz więcej graczy zaczyna nam dołączać do tego ziemskiego układu – Tragueri zmienił temat. – Bo czwarty wymiar, czy czwarta

gęstość tutejszego okupanta to jedna sprawa, ale co to za obce statki w przyziemnej trzeciej, o których nie mają pojęcia ani ludzie, ani my, choć jesteśmy tu już kolejny raz?! – Przerwał i skierował wieniec w górę, a jego frekwencja zmieniła się na wrogą. – I gdzie one były, gdy do Ziemi zbliżali się Vancruso?! – zawibrował oburzeniem. – Gdyby stanowiły jakąś kosmiczną służbę, należącą do bezcielesnych twórców nadajników, to czy nie wywiozłyby niechcianego kryształu samodzielnie?! Oczywiście, że tak! – odpowiedział sam sobie. – I jeszcze wręczyłyby go Vancruso, by ślad po nim zaginął. A może chodzi o to, że oni muszą się maskować?! Bo są tu poza dyrektywą Federacji?!

Cothley odczuł mocno kotłowanie myśli i uczuć przyjaciela. Wyzwolił ją nadmiar bytów, które ujawniały się w ich testach na Ziemi. Rapilah natomiast zaśmiał się głośno, wspominając kosmiczną fregatę, która ich ostrzelała. I która musiała gdzieś stacjonować.

– A ludziom się wciąż zdaje, że zdobywają dziewiczy kosmos! – zawołał. – I że są sami w Układzie Słonecznym!

SKOKI LOTNE

W jednej z szafek obszernej szatni gymu Korwetta odnalazła swój kostium do ćwiczeń. Stary, gruby i granatowy, na szczęście zapakowany próżniowo. Adam nie zrobił uwagi, że jest *passé*, choć sam przebrał się w coś współczesnego, cienkiego i w kolorze bordo. Kostiumy różniły się nie tylko materiałem, ale i wielkością wcięć – te nowe bardziej odsłaniały ciało.

Przeszli razem do dużej sali. Tu też było kompletnie pusto i Korwetta zaczęła się zastanawiać, gdzie wymiotło dziś studentów. Nie zdążyła o to zapytać, gdyż młody zaproponował rozgrzewkę i z miejsca ją rozpoczął. Nawet ją tym ucieszył, bo nigdy nie lubiła poświęcać uwagi doborowi ćwiczeń – wołała za kimś podążać.

Adam najpierw wykonał rozciąganie przy drabinkach i musiała przyznać, że szpagat ma lepszy od niej. Potem wszedł w część dynamiczną. Wykonali serię przewrotów przodem przez całą długość sali, a powrócili przewrotami tyłem. Następnie ciąg przewrotów ze stania, a powrót panterką. Próbowwała wybijać się z nóg równie daleko jak on przy tych skokach lotnych, no ale cóż, był wyższy... Przy serii naskoków zorientowała się, że to przygotowanie do salta.

Adam dobrze się bawił, gdy mknęli przez salę serią gwiazd na obu rękach i na jednej, a wracali przejściami w przód i w tył. Jej oddech pogłębił się przy saltach machowych – dawno nie robiła tych gwiazd bez wsparcia dłoni, ale jeszcze nadążała za nastolatkiem. Ledwie...

Wreszcie salta w przód. Adam dokręcał je jakby bez wysiłku, ona powoli traciła stabilność. Kiedy to zauważył, zwolnił i zaczął asekurować jej obroty w powietrzu. Gdy chwiała się przy lądowaniu, podparł ramieniem jej plecy, trafiając we właściwe miejsce. Niewątpliwie znał się na rzeczy. Zatrzymała się, gdy wykonał serię salt w tył, znów niemal bez wysiłku. Widząc wahanie Korwetty, rzucił:

– Chodźmy na trampolinę do backflipa.

Posłuchała go. Przeszli do części sali ze sprężystą podłogą. Tu poczuła się bezpieczniej i puścił jej blok mentalny. Wykręciła salto w tył, ale słabo wyprowadziła biodra do przodu i spadła na plecy. Chciał jej pomóc, lecz odkrzyknęła:

– Poczekaj, to moja pierwsza próba po trzech miesiącach!

Drugi backflip jej wyszedł, choć zachwiała się przy lądowaniu. Trzeci był w pełni poprawny. Wtedy on zarządził:

– No to wracamy na twarde!

Poszła za nim z obawą, że na twardym wymięknie. Adam to pewnie dostrzegł.

– Nie obawiaj się, złapię cię w razie czego! – rzucił poczekaj.

Skubany dobry jest!, pomyślała i zaufała mu. Niemal postawił ją na nogi przy pierwszym niedokręceniu, przy drugim dociągnął, a przy kolejnym wsparł ze słowami:

– Ładnie pachniesz!

– Masz mnie asekurować, nie obwąchiwać! – warknęła zaraz, myśląc, że to ściema. Bo przecież była spocona jak mysz.

Zaśmiał się i rzucił:

– No to podwójne do przodu!

Poczekala, aż on zademonstruje. Nie zdziwiła się, że podwójne salto wykręcił bezbłędnie. I to kilka razy z rzędu.

– Wracamy na trampolinę – rzuciła, a on posłusznie poszedł za nią.

Zrobiła półtoraka bez pomocy, ale brakowało jej rozmachu na dwa obroty w górze.

– Pchnę ci poduszkę dla przełamania lęku – oznajmił.

Skinęła głowę. Przysunął sobie do nogi mały materac. Wtedy do-kręciła salto mocniej. Wylądowała na pośladkach, ale on zdążył podsunąć tę poduszkę. Zaufała i zrobiła dwa obroty już bez oporu. W końcu wylądowała stabilnie na nogach.

Adam uparł się, by wrócić na twardy grunt. Poczuela lęk, ale uwierzyła, że on ją złapie lub zaasekuruje na materac. Nabierała tempa i mocy rotacyjnej. Udało się za trzecim razem, a za piątym nie musiał jej nawet podpierać.

- To co, podwójne do tyłu? – zapytał wtedy.
- Adam, ja to zrobiłam chyba tylko raz w życiu! – wydyszała.
- A chcesz dziś drugi raz? – Nie zraził się wcale.
- Pokaż najpierw sam! – Zagrała na zwłokę.

Duble backflipa wykonał też bez zarzutu i pozostawił wrażenie, że ma jeszcze sporo zapasu. Ona zakończyłaby już ten trening, ale głupio jej było wobec Adama. Kto wie, czy nie będzie miał z nią zajęć, a uczyła też akrobatyki na pierwszym roku!

– To ja idę pokręcić na gąbkach! – Czuła, że balansuje już na granicy wydolności.

Przeniosła się do „basenu” pełnego sprężystych skrawków. Nie obawiała się tu spadać, więc wyskok tyłem i rotacja w górę nie stanowiły problemu. Próbowwała odtworzyć odpowiedni automatyzm. Adam wykonał w międzyczasie śrubę w przód i w tył, rundaka, a jakże, i podwójne salta ze skrętami. Poddawała się. Stwierdziła, że jest lepszy od trenerów i odpuściła sobie wizerunek. Zakończyła swoje próby i podeszła do niego.

- Zatrzymasz mnie przy potrójnym w tył? – zapytał wtedy.

Słabo jej się zrobiło od samego pomysłu, żeby próbować tego na twardym, ale skinęła głową. Pożałowała zbyt szybkiej zgody, ale było za późno. Adam rozpedził się serią przerzutów tyłem i wybił tak wysoko, że mogło mu się udać. Objął rękami kolana w powietrzu i faktycznie obrócił się trzykrotnie. Nie utrzymał równowagi przy lądowaniu, ale poleciał do przodu i podparł się o podłogę, więc nawet nie musiała go podtrzymywać.

Odetchnęła z ulgą. Rzuciła do niego:

– Może wystarczy na dziś?

– Jasne, a na pasach trenujesz? – wskazała długie wstęgi przyrządu, wiszące z tyłu sali.

Pokręciła przecząco głową, nawet nie próbując udawać.

– Szkoda, bo to można razem – zaznaczył z uśmiechem.

– Nie wątpię, że ty umiesz, to popisz się na koniec! – odpowiedziała.

I znów pożałowała, że coś ją podkuśliło. Ale Adam nie rozhuśtał się pod sufit, tylko uchwycił się obu pasów i obracając ciałem, zawiązał sobie każdy z nich wokół przedramion, a potem ramion. Wspiął się w ten sposób obrotami do połowy wysokości sali.

– Wracaj, nie odwalaj wniebowstąpienia! – krzyknęła do niego.

Posłuchał i zaraz się odwinął. Pomyślała, że trudno się dziwić jego talentowi. Zarówno ojciec, jak i matka byli kiedyś najlepszymi akrobatami w Akademii – każde w swoim czasie.

Gdy stanął obok niej, powiedziała:

– Jesteś zupełnie zajebisty, Adamie Neo, dziewczyny muszą za tobą szaleć.

Zaśmiał się ujmująco i objął ją ramionami.

– O nie, nie, nie! – krzyknęła z wigorem. – Na mnie tego nie testuj!

– Chciałem tylko podziękować za wspólny trening – odrzekł zaraz ze skrucą.

– To chodźmy szybko pod prysznic, bo Cothley nadał, że są tuż-tuż!

Wyjęła z wyposażenia szafki łazienkowej wielki czysty ręcznik, który powiesiła tuż obok jednej z kabin prysznicowych. Adam umieścił swój ręcznik w pobliżu. Zdjęła kostium już w kabinie i weszła pod strumień ciepłej wody. Nie zdążyła się dobrze namydlić, gdy drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Adam – nagusieńki!

– Co robisz, zmoro, w mojej kabinie?! – wrzasnęła i chlusnęła w niego zimną wodą z pojemnika na mydło. – A kysz! – Widząc, że się ociąga, chwyciła dyszę prysznica i skierowała w jego stronę gorący strumień.

Wtedy wycofał się do kabiny obok.

– Przepraszam! – zawołał stamtąd. – Ale przecież mamy koedukacyjne, myślałem...

– Co myślałeś?! – odskrzyknęła ze złością. – Że będziemy sobie zakładać powłokę antyradiacyjną?!

– Nie, ale... – głos Adama dobiegł sponad ścianki kabiny. – Tu wszyscy chodzą nago, więc myślałem...

– No co myślałeś?! – nie dawała za wygraną.

– Że nie będziesz miała nic przeciwko temu – dokończył głośno, choć niepewnie.

Zamilkła i już w spokoju dokończyła kąpiel. On też wkrótce zakręcił wodę.

– Podaj mi teraz ręcznik ponad drzwiami! – zawołała do niego. Zrobił to po krótkiej chwili. Owinęła się szczelnie.

– Czy mogę już wyjść, bo jesteś w ręczniku? – krzyknęła jeszcze.

– Okej, mogę być – odpowiedział.

Wyszła z kabiny. Adam był rzetelnie owinięty ręcznikiem od pasa w dół.

– Przepraszam – rzekł do niej chyba z prawdziwą skruchą. – Niepotrzebnie ci wlałem... ale tu naprawdę nikt nie chodzi w ręcznikach. – Spojrzał w jej oczy.

Westchnęła głęboko, pamiętając, że kąpała się tu zawsze nago z chłopakami. Bo nikt nigdy nie robił ceregieli z nagości na AcAs. Mało tego, wstydu należało się wyzbyć. *No bo przecież powłoka antyradiacyjna!*

– Być może wydaję ci się staroświecką starszą panią – powiedziała pojednawczo, a on potrząsnął przecząco głową. – Ale jesteś dzieckiem mojego przyjaciela i obowiązują nas inne zasady niż te powszechnie tu przyjęte – dokończyła surowo.

– Rozumiem – odpowiedział. – I dziękuję, że wciąż chcesz mnie zabrać na statek.

NARODZINY KONKWISTADORÓW

Jesień na Uldri była w tym roku łagodniejsza niż zwykle. Ciepła, jasna i bezwietrzna, otuliła planetę opiekuńczym szalem eteru, spokojnego teraz jak rzadko. Wschodząca Soria przybierała barwy od mlecznej żółci do koralowego różu, a zachodziła cynobrem lub karmazynem. Odkąd odleciał stąd pionierski koryf Cothleya i Tragueriego, nie zdarzyło się jeszcze, żeby promienie głównego słońca zabarwiły świat fioletem. Trawy i rozłogi szumiały dziś kusząco, plara w akwenach kołysała się leniwie, a śmigające tam sursuny sprawiały wrażenie roześmianych.

Mieszkańcom Stożka Uraho oraz bliźniaczych uldryjskich stożków w pełni odpowiadał ten nowy klimat – był trochę jak stan lekkiego rauszu. Przypisywali go nieco podniesionej wibracji planety, którą osiągnięto dzięki pracy platorów z frekwencją trzysta pięćdziesiąt. O przyswojeniu na stałe tej częstotliwości nie było jeszcze mowy, ale starszyzna Uldri zrobiła niewątpliwie dobry użytek z tego, czego nauczył się Cothley od Mahaborianki. I co szczerze przekazał dalej, a w zasadzie co przekazali oboje. Pierwszy raz Uldryjczycy nabrali przekonania, że dostali coś naprawdę cennego od mieszkańców innej planety. I to, o dziwo, planety ze średnią poniżej mantum.

Warto było umieć korzystać z obopólnych dobrodziejstw takiego kontaktu, a unikać niewątpliwych zagrożeń. I Cothley wraz z Traguerim chyba byli temu bliscy.

Tymczasem w dniu koniunkcji Cermiro i Sorii koordynator Fol-matho ogłosił platorom rzecz niecodzienną. Przekazał mianowicie zaproszenie do Holanu dla całej ich grupy. I to na czas uldryjskiej nocy – zwykle krótkiej, choć jesienią nieco wydłużonej.

Platorzy przekroczyli więc wspólnie bramy Ogrodów, zachwycając się w drodze barwami ciniantów i zapachem wererii. Oddali należną cześć kręgom interferencji na Uldryjskiej Ścianie Pokoleń i o zachodzie Sorii wstąpili na taras kryształowej świątyni.

Zanurzony w trzcinowym siedzisku Tulmi przywitał ich serdecznym pochyleniem wieńca. Wskazał dziewięć przygotowanych dla nich siedzeń, które rozstawiono dziś w kręgu wokół niego. Jedynym wstępem, jaki zrobił, był bezgłosny przekaz:

– Usiądźcie wygodnie, zanim zapadnie ciemność. Wtedy wpatrzcie się w to, co pojawi się na ścianie Holanu tuż nad wami.

Gdy Soria w purpurze zachodu schowała się za horyzontem, rozpoczęła się projekcja. Na krystalicznej ścianie Holanu pojawiły się zarysy kształtów. Nie przedstawiały postaci, tylko konstelacje gwiazdne, widoczne z powierzchni Uldri. Używano ich nazw tylko w zamierzchłych czasach, kiedy sądzono, że tworzące je gwiazdy leżą blisko siebie. Teraz ukazała się jedna z takich konstelacji, a potem jej najjaśniejsza, stosunkowo młoda gwiazda Mok. Po chwili widzowie dostrzegli niewielką planetę Ghonan-3, krążącą wokół Mok wraz z pięcioma innymi. W atmosferze tej planety, bogatej w dwutlenek węgla, metan i tlen, jednak pozbawionej azotu, najwyraźniej zrodziło się jakieś życie. To, co obserwowali teraz, było chyba ewolucją samej planety, która stygła ze stadium gorejącej bryły do magmowej skały. Gdy wulkany wyrzuciły tam w górę strumienie dymu i pyłu siarkowego, ciemne chmury przesłoniły bladą tarczę gwiazdy Mok. Krajobraz pokryła warstwa szklistych minerałów i krystalicznych osadów, które lśniły w blasku erupcji. Jeśli miało się tu pojawić życie, musiało dostosować się do skrajnych i nieprzewidywalnych warunków. Byłoby to tak nieprawdopodobne, że graniczyłoby z cudem.

Jednak stosunkowo szybko jak na taki proces, w labiryntach zastygłej lawy i bazaltowych piaskach globu zaczęło się coś wylęgać. Przybierało kolejno postać mikrobów, porostów biomineralnych, plech lumino-flory, wreszcie ruchliwych płazińców o metalicznych łuskach. W końcu rozpełzły się tam kolcogłowe robaki – podłużne chitynowe istoty o segmentowanych ciałach z wieloma odnóżami.

Widok nie wzbudził sympatii obserwatorów. Nie dlatego, że mieszkańcy Uldri czuli wstręt wobec robaków – w końcu wiele żyjących tutaj nie grzeszyło urodą, a darzono je sympatią. Obrazy na ścianie Holanu dało się też jednak odbierać wibracyjnie, a to, co docierało do widzów, zaczynało budzić odrazę. Życie rodzące się na Ghonan-3 było nad wyraz ekspansywne. Kolcogłowe robaki i ich kotłujące się larwy pochłaniały wszystkie inne formy życia, którym udało się powstać na tej niewielkiej planecie, aż w końcu zaczęły zaglądać w kosmos. Platorzy zadawali sobie pytanie, czy podbój przestrzeni może im się udać, czy raczej ten żarłoczny gatunek, zniszczywszy swoje środowisko, ulegnie samozagładzie. Wspomogło go dziwne zrządzenie losu – w którymś momencie macierzysta planeta została trafiona przez meteor i zbliżyła się orbitą do swojej gwiazdy. Spowodowało to silne mutacje u żyjących na niej istot. W większości były letalne, jednak wyselekcjonowały szczególnie szczep robaków. Przetrwały osobniki odporne, radzące sobie długo bez pokarmu, co nie przeszkodziło im pożreć słabszych współplemieńców.

Kolejna kolizja kosmiczna wydawała się nieść im zagładę. Rozbiła bowiem Ghonan-3 na kawałki, które podryfowały po nieodległych orbitach. Jednak nawet wtedy gatunek nie wyginął – odporne osobniki wniknęły głęboko w skałę przypadłych im fragmentów planety matki i zaczęły ją drążyć, budując sobie formę domostw. Odporne na promieniowanie kosmiczne, nie straciły kontaktu z osobnikami, które ocalały na innych kawałkach planety i zaczęły się uczyć wspólnej nawigacji w przestrzeni. Gdy definitywnie kończyły się im zasoby, z których dało się pozyskiwać energię, podjęły decyzję o wspólnym

opuszczeniu orbity Mok. Zespołową nawigacją udało im się dotrzeć na sąsiednią planetę tej gwiazdy i dokonać jej aneksji. Zostały tam bezazotowe życie w formie młodych jeszcze w rozwoju roślin i zwyczajnie je skonsumowały. Film przyspieszył, pokazując ewolucję kosmicznego robactwa oraz jego domostw, okres ich bujnego rozmnażania oraz coraz zuchwalszych aneksji – udało im się bowiem dotrzeć drogą wspólnej nawigacji do kolejnych planet własnego układu gwiazdowego. Ostatnie kadry pokazywały okres, w którym gatunek kosmicznego robactwa zaczyna przymierzać się do ekspansji w dalsze rejony kosmosu, a jego domostwa nie przypominają już brył skalnych, tylko obiekty mocno udoskonalone technicznie, które w końcu przekształcają się w szybko poruszające się... dodekaedry!

– To Vancruso! – wykrzyknęli niemal jednocześnie wszyscy oglądający spektakl platorzy.

I zdali sobie sprawę, że nikt z planety Uldri nie widział dotąd osobników Vancruso. Prawdopodobnie niewiele ras oglądało ich w całej krasie, gdyż Vancruso starali się nie pokazywać swoich ciał. Jakim celem kierował się Tulmi, pokazując tę niemal nieprawdopodobną historię tego gatunku oraz ujawniając jego wygląd?!

NIETYPOWY NAPĘD

Korwetta i Adam szybko ubrali się w szatni i wyszli na dziedziniec AcAs. Właśnie lunął majowy deszcz, a porywiste podmuchy wiatru niosły drobny piasek z plaży aż tutaj. Automaty sprzątną go dopiero, gdy podeschnie... Zapięli kurtki z kapturami i przyspieszyli kroku. Było późne popołudnie, a oba place szkoły wciąż świeciły pustkami. Zapytany o to Adam wyjaśnił, że dziś jest dzień manewrów na kosmodromie. Na pytanie, dlaczego je opuścił, odpowiedział, że zaliczył przedmiot w przedterminie.

Przekroczyli słynną barierę wokół bolidaru, który rozświetlił się gościnnie.

– Teraz krótki instruktaż, niesforny młokosie – zwróciła się do chłopaka Korwetta tonem mentorki. – Jak pamiętasz, pierwsza dyrektywa zaleca nie pokazywać zaawansowanej technologii niższym w rozwoju cywilizacjom, by nie zaburzać ich naturalnego rozwoju. – Przeszyła go surowym wejrzeniem. – Zaproszenie na uldrysjski statek jest pogwałceniem tej dyrektywy.

– No w sumie tak – odpowiedział. – Ale ja przecież już byłem na tym statku, tylko nie pamiętam! – Natychmiast znalazł rozwiązanie.

– Brawo, poprawne tłumaczenie – odrzekła, gdy statek wysuwał oświetlony trap. – Tego kiedyś wymagało ratowanie ciebie. Ale wiesz, że o dzisiejszej wizycie nie możesz opowiadać kolegom?

– Jasne! – Ochoczo ruszył za nią po pochylni. – A nasz sztab chodził po tym statku? – zainteresował się nagle.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Oprócz twojego ojca i matki byli tu tylko admirał Hold i komandor Wardyn.

Adam zdziwił się, że nawet obecny dowódca tu nie zaszedł. Korwetta, jakby czytając jego myśli, dodała:

– Warren ma na to wylane. Ale z poprzedniego sztabu na pokład weszli jeszcze Oriana Bent i Kajetan Brandt, pewnie ich nie pamiętasz... Za to ja bardzo za nimi tęsknię.

– Pamiętam oboje z dzieciństwa – zaoponował Adam. – Choć rzadko ich widywałem – przerwał, bo właśnie rozsunał się właz na statek.

Weszli do środka. Chłopak sprawiał wrażenie przejętego. Zanim pojawili się Uldryjczycy, Korwetta powiedziała w ich imieniu:

– Wybacz, ale nie spryskają się aerozolem na twoją wizytę. Więc zobaczysz tylko najtwardsze części ich ciał. W oczach ludzi pojawia się wtedy pewien rodzaj iluzji. Uprzedzają, żebyś się nie przestraszył.

– No co ty! – zareagował Adam. – Jestem gotowy!

Korwetta zaprowadziła chłopaka do sterowni statku. Zaczął gorączkowo rozglądać się po wyposażeniu, które w niewielkim stopniu przypominało ziemskie systemy sterowania. Zmiennokształtne konsole i siedziska robiły wrażenie, a jeszcze bardziej przykuwały uwagę cięłokrystaliczne odnogi komputera ze zbliżeniowym, czy wręcz wzrokowym interfejsem.

Gdy pojawili się tu trzej Uldryjczycy, Adam okazał się jednak na to niegotowy. Na wtargnięcie ciemnych szkieletów z jaśniejszą niby-kosą zareagował grymasem przestachu. Automatycznie odskoczył od konsoli w głąb pomieszczenia, a Korwetta nie zdołała stłumić śmiechu. Rozbawił ją także wygląd koryfu – z uldryjskich ciał zwiślał smętnie fluid, niedosuszony po deszczu, ale tego Adam nie mógł widzieć. Chłopak szybko się opanował.

– Dzień dobry, panowie! – rzucił i też się roześmiał. – Nie poznałem was!

– Witaj, Adamie – przekazała tłumaczka w imieniu Cothleya, a od siebie dodała:

– Oni nie są panami, tylko obojnakami.

Młody Bryniarski najpierw nie zrozumiał całości, ale zaraz się zorientował które słowa pochodzą od kogo.

– Dziękuję, że mnie tu wpuściliście – odpowiedział gospodarzom. – To wszystko – powiódł wzrokiem po urządzeniach sterowni – współpracuje z napędem *like-warp*? Kompresja czasoprzestrzeni przed statkiem?

Nie był w stanie dostrzec, że kapitan uśmiechnął się szeroko.

– Owszem – przekazał Cothley. – Ale te urządzenia obsługują też technologię toroidu w nawigacji frekwencyjnej. – Zbliżył dłoń do ekranu na konsoli i wyświetlił dwie wygaszające się fale. – To pozwala robić skoki do miejsc docelowych. – Pokazał Adamowi jakiś zapętlający się cyfrowy ciąg, a potem cyrkularny przepływ energii w toroidalnym kształcie.

Korwetta nie pojęła w czym rzecz, ale Adam wydawał się urzeczony.

– Mając Ziemiankę na pokładzie, nie używaliśmy tego napędu – kontynuował Cothley. – Jest on powszechny wśród istot z piątej gęstości.

Adam tak skupił się na przepływie w toroidzie, że nie zapytał nawet o piątą gęstość. Wkleił wzrok w symulację pracy silnika, a Tragu-eri i Rapiłah wymienili wibracje rozbawienia. Korwetta uzmysłowiła sobie, że z nią Cothley nie omawiał napędu. Może uznał, że o takich kwestiach łatwiej rozmawiać z ziemskimi mężczyznami. Albo wiedział, że to szczególnie zainteresuje tego młodziaka. Adam z wypiekami na twarzy wypytał o parę detali technicznych i gdy Korwetta myślała już, że przez resztę wieczoru będzie tłumaczyć skomplikowane zależności fizyczne, Cothley rzucił do gościa:

– Rapiłah oprowadzi cię po statku. Spróbuj się z nim dogadywać, to będzie świetny trening dla was obu. Gdyby pojawiły się trudności, wróć do nas, Korwetta przetłumaczy.

Adam skinął głową i wyszedł z Rapilahem. Wtedy Tragueri zwrócił się myślą do dowódcy: *To jutro też wybywamy, czy pozostajemy na miejscu?*, a Cothley odpowiedział: *Poczekajmy na rozwój sytuacji. Być może będziemy potrzebni tu, w Akademii.*

Tragueri wyczuwał, że Korwetta chce coś pilnie przekazać Cothleyowi. Podejrzewała, że on nawet wie, o co chodzi, bo skłonił wieniec i opuścił sterownię, wciąż w stanie rozbawienia. Wtedy chwyciła nerwowo banana ze stołu i wyrzuciła w tempie karabinu:

– Coth, muszę ci coś powiedzieć! Całowałam się dziś z Robertem. Nie uzgadniałam tego wcześniej z tobą, ale rozumiem, że nie masz nic przeciwko temu, biorąc pod uwagę naszą rozmowę pod tytułem: „Na Uldri nie ma embarga na miłość”!

Cothley się nie odezwał, obserwując ją uważnie. Nie rozumiał symboliki tego banana.

– Jak to było? – kontynuowała, próbując sobie przypomnieć. – Że na Uldri możesz kochać wiele istot naraz i nie ocenia się tego jako coś złego. Wręcz przeciwnie. I jeśli każda ze stron dostaje to, czego potrzebuje i jedno drugiemu nie obniża wibracji kontaktami z innymi, to wszystko jest okej, tak?

Cothley dalej się nie odzywał.

– A w ogóle to pewnie o tym doskonale wiesz, Coth. – Niemal bezwiednie obrała banana i ugryzła go. – To stało się niedługo po tym, jak się z nami łączyłeś w domu admirała Holda.

– Nie wiem – odezwał się wreszcie Cothley. – Wtedy byliśmy już bardzo zajęci. Ale mogę to przywołać.

W tej chwili w sterowni zjawił się znów Adam z Rapilahem. Podniekowany chłopak podziękował za oprowadzenie po statku, miał jednak kilka pytań technicznych. Pierwszą ich część przekazał Rapilah, bazując na tym, co zrozumiał z prób migowych młodego Ziemianina. Uzupełnienia dokonała Korwetta, tłumacząc Adama bezpośrednio. Cothley wrócił na chwilę do fizyki lotu, a ona starała się tłumaczyć go jak najlepiej.

Gdy Adam wydał się ukontentowany, grzecznie podziękował za poświęcony mu czas. Korwetta odprowadziła go do wjazdu bolidaru. Kiedy schodził już trapem, zawołała za nim:

- Mam nadzieję, że nie będą ci się dziś śnić nadzy Uldryjczycy!
- Nie, dziś będziesz mi się śnić ty naga pod prysznicem! – odkrzyknął bezrefleksyjnie.

Rzuciła za nim resztką banana ze skórą i warknęła:

- Naskarzę ojcu!

Dostał kleistym obiektem w plecy, na co zareagował przesadnie. Przewrócił się pod bolidarem, udając zgon w konwulsjach. Po chwili podniósł się ze śmiechem, pomachał jej ręką i pobiegł w stronę rogatek uczelni. Nie przejął się tym, że wytarzał się w błocie.

WARUNKI ZAZDROŚCI

Gdy Korwetta wróciła do sterowni, Cothley rzucił do niej:

– To chodź, porozmawiajmy.

Skierował ją do swojej kajuty. Podążyła za nim bez słowa. Miała wrażenie, że obecne tu sprzęty zmieniały barwę w całym spektrum tęczy, ale może to jej pobudzenie wywołało tę iluzję. Cothley wskazał jej siedzisko, a ono wpasowało się w jej kształt.

– Pamiętam tę rozmowę o zazdrości – zaczął, zajmując fotel na wprost niej. – Także to, co wtedy mówiłem.

Skinęła głową, zdecydowana pociągnąć temat dalej.

– Sformułowałeś wówczas tę słynną już sentencję – starała się mówić racjonalnie – że Uldryjczycy rzadko mają takie deficyty, by łątać je zasobami partnera. I że czas na bycie razem zawsze się znajdzie, gdy nie pożera go ktoś nienasycony...

– Poprawnie cytujesz – uznał. – Tylko nasz czas akurat się kończy.

– To dla ciebie dobrze czy źle? – dopuściła do głosu emocje.

– Nie rozumiem pytania.

Miała wrażenie, że on faktycznie nie rozumie.

– Bo nie zauważyłam, żebyś temu przeciwdziałał – wyjaśniła. –

Więc myślałam, że dla ciebie to rozstanie jest okej.

Cothley zwrócił ku niej wszystkie oczy wieńca.

– Masz do mnie żal o to, że nie przeciwdziałam? – zapytał.

– Słabo uświadamiany, ale chyba mi go właśnie wywała – przyznała.

– A co mógłbym zrobić? – zapytał. – Nie widzę sposobu...
– Wiem, wyjaśniliśmy to sobie ostatniego dnia na Uldri – przypomniała. – Ważniejsze dla mnie jest, czy w ogóle chciałbyś przeciwdziałać... bo być może wliczyłeś rozstanie w koszty takiej relacji i pogodziłeś się już...

Cothley skondensował wejrzenie, a ona poczuła promienie jego wzroku niemal w swoich trzewiach.

– Chciałbym, żeby tak było – przyznał. – Bo przecież ewolucja powinna iść w kierunku wyzwalania z cierpienia. A jeśli bliskie związki są bardziej rozwojowe, bo pozwalają na lepszą wymianę potencjału, niż te uldryjskie... to powinny mieć opcję wolną od bólu.

Teraz ona przyjrzała mu się uważnie.

– Pewnie ją mają – odrzekła. – Zgodnie z relacją niejakiego Cothleya ból się nie pojawia, gdy para wzrasta dzięki wymianie. A pojawia się w roli sygnału, gdy wymiana zawodzi, lub przerwie się ją zbyt wcześnie.

– I ból przestrzega przed tym przerywaniem – potwierdził Cothley. – Tylko jest spore ryzyko niesymetrii takiej relacji – zauważył.

Korwetta nie chciała teraz wnikać w tę niesymetrię.

– A jak jest z nami, Coth? – zapytała wprost.

– A jak ty to czujesz, Korwetto? – odpowiedział pytaniem.

– Czuję, że ja mogłabym jeszcze mnóstwo od ciebie wziąć – przyznała. – Nie tylko twoją mądrość i wiedzę, ale też wchłonąć te twoje vibracje, stabilne, pewne, elastyczne, współczujące...

Cothley roześmiał się i rzucił:

– Ostatnio brak im stabilności, ale zgoda, generalnie są bardziej ugruntowane, niż twoje.

– No i świetnie mi robi miłość, którą mnie obdarzasz, Coth – dodała. – A ta nasza wysoka wymiana, choć inicjowana przeze mnie, jest utrwalana przez ciebie. Odkąd weszłam na ten statek, jestem inną osobą, przecież wiesz... Przyspieszył mój rozwój.

Przysunął do niej swój fotel i wysuniętymi dłońmi pogładził jej plecy.

– Miło mi to słyszeć, Korwetto. I nieskromnie się zgadzam – połączył powagę z żartem.

Zaśmiała się. Wsunęła dłonie w jego buzujący fluid.

– A jeśli istoty sporo już ze sobą wymienia, to przestają się kochać? – zapytała.

Rozbawiła go ta koncepcja.

– Nie, jeśli kochały prawdziwie – odpowiedział. – Tylko wtedy nie są już tak spragnione bliskości. Pozwalają sobie eksplorować odrębne światy.

Zaniepokoiło ją to.

– A ty wciąż jeszcze pragniesz bliskości ze mną, czy już ciągnie cię w inne światy? – spytała.

Przyciągnął ją na swój fotel.

– My jeszcze niewiele ze sobą wymieniliśmy, kochanie – odpowiedział. – Ja wciąż uczę się wzbudzać samodzielnie to trzysta pięćdziesiąt... Więc przy twojej czułości mogę ewoluować w tej frekwencji. To jest nie do przecenienia, Korwetto – podkreślił, patrząc jej w oczy dwójgiem swoich. – No ale co z tym całowaniem?

Znienacka wrócił do tematu, który sama rozpoczęła. Czuła teraz jego wzrok niemal w środku czaszki.

– Zaraz do tego przejdę. – Przechyliła się na fotelu, który uchronił ją przed upadkiem. – W ramach długiego wstępu chcę jeszcze podkreślić, Coth, że ja cię naprawdę kocham i nic mi z tego nie ubyło od przylotu na Ziemię. – Nabrała powietrza. – Dlatego mam teraz mętlik w głowie, którego nie ukrywam. I dlatego dopytuję, jak ty zareagujesz na nasze rozstanie.

Zagarnął ją w całości w swoją warstwę fluidu.

– Doceniam twoją szczerość – rzekł z uznaniem. – I opiszę ci otwarcie mój obecny stan... – zastanowił się przez chwilę. – Tak, zaczyna mi

doskwierać nadchodzące rozstanie – przyznał. – Pierwszy raz tego doświadczam... Bo kocham cię, od kiedy pokazałaś, jak bezwarunkowo potrafisz obdarować. Wydawało mi się, że możemy pójść w to dalej, unikając bólu, a jednak... – Obrócił oczy wokół kilku osi, jakby szukał odpowiedzi. – Nie rozpaczałem nigdy z powodu rozstań, bo nie czułem, że tracę coś, czego nie da się uzupełnić. Ale teraz czuję. Uależniłem się nie tylko od trzysta pięćdziesiąt, ale i od twojej tklivości i całej cielesności, związanej z tą wibracją. U ciebie naturalnej, bo w ten sposób przekazujesz miłość, a dla mnie kompletnie nowej... No i już zaczyna mi tego brakować.

Korwetta mocniej wtuliła się w niego.

– Jeśli więc pytasz, jak zniosę rozstanie – kontynuował – to już wiesz. Nastąpi ono przed czasem, więc nie uniknę tęsknoty i przykrości rozerwania...

Westchnęła głęboko.

– To jest prawdziwy dramat, Coth, dla mnie też – odpowiedziała. – Ale nie chcę, żebyś ty cierpiał, kochany! – Poczula, jak bardzo jej na tym zależy. – Ja cię wciągnęłam w aż taką bliskość, a teraz chciałabym cię chronić...

Przesunął dłoń wzdłuż jej kręgosłupa i uniósł niewidzialne włoski na jej skórze.

– Ty mnie przed tym nie uchronisz – stwierdził z uśmiechem, ale i z czytelną wdzięcznością. – Więc zadbaj o siebie. I mów wreszcie otwarcie o Robercie.

DELIKATNA SUGESTIA

Wiceadmiral Bryniarski przyjął od obłego robota, obsługującego kwatery dowódców, spóźniony obiad ze stołówki. Kilkakrotnie zmieniał wersję oświadczenia dla mediów, starając się podać całą prawdę, a przy tym nie wciągnąć w kłopoty przyzwoitych ludzi. Korciło go, by powierzyć zadanie sztucznej inteligencji, która mogłaby się tu wykazać, coś mu jednak mówiło, że nie warto wrzucać w sieć wszystkiego, co wie. Zdążył już wybrać ostateczną, mocno skróconą wersję oświadczenia, gdy na konsoli zapulsował sygnał kontaktu z głównodowodzącym Akademii. Cieszyło go i dziwiło zarazem, że Warren łączy się z nim dopiero teraz.

– No i cóż tam zdecydował nasz drogi Alexander w stanie spoczynku? – Zwierzchnik, jak nigdy, próbował być dowcipny. Przyozdobił nawet uśmiechem swą wymiętą twarz.

– Zdecydował, że ogłaszamy prawdę na temat bitwy o Ziemię – odrzekł Robert bez ogródek.

Twarz admirała na ekranie straciła resztkę wigoru. Jej rysy wyraźnie opadły.

– I chyba nie masz zamiaru zastosować się do tego, Robercie? – zapytał niepewnie zwierzchnik.

– Przeciwnie, mam zamiar – odrzekł natychmiast Bryniarski. – Ty nie masz się przecież czego obawiać, Eric, byłeś od tego jak najdalej –

przypomniął z ironią, która wymknęła mu się spod kontroli. – Konsekwencje spadną na Holda i na mnie.

Warren odchrząknął kilka razy.

– Mnie faktycznie za tę historię winić się nie da – podjął nieświdy chybą, że podwładny wytknął mu jego dawne tchórzostwo. – Ale pomyślałem, że prezydent Sollandu i rząd Regionu Odzyskanego mogą mieć nam bardzo za złe to ujawnienie. Radzę ci przed oświadczeniem się z nimi skonsultować.

Robert nabrał głośno powietrza. Liczył, że zdąży ogłosić to, co zamierzał właśnie bez takiej konsultacji.

– No i co byś zrobił, Eric, jeśli oni byliby przeciwni? – zapytał wprost.

Tak zadanego pytania Warren się chyba nie spodziewał. Najwyraźniej wstyd mu było przyznać, że zrezygnowałby z prawdy, by nie robić sobie kłopotów.

– No przemyślałbym wszystko jeszcze raz na twoim miejscu – odpowiedział.

– Właśnie przemyślałem kilkakrotnie – odparł Bryniarski. – Oświadczenie zdążyłem przecież zapowiedzieć na konferencji prasowej i dziennikarze tego nie odpuszczą.

Zwierzchnik na ekranie skrzywił się mocno.

– No niestety, to nie było rozsądne – stwierdził. – Ale formę wciąż możesz jeszcze wybrać – odpowiedział.

Robert miał wrażenie, że Warren, który wcześniej uznał prawo admirała Holda, rządzącego w czasie napaści Vancruso, do ogłoszenia prawdy z tamtych czasów, zdążył się już skonsultować z owym rządem regionu. Wiceadmiral postanowił więc nie wchodzić w otwartą kolidację ze zwierzchnikiem.

– Zgadza się, Eric, formę wybiorę jak najbardziej oględną – odpowiedział, siląc się na uśmiech. – Razem z admirałem Holdem – dodał szybko.

Obawiał się, że Warren zechce konsultować tę formę. Ale dzisiaj nie przeszło mu to na szczęście przez gardło, bo się wyłączył. *Za to jutro pewnie zjawi się u mnie przypadkiem...* Więc jutro trzeba to ogłosić, zanim szef dotrze do pracy, pomyślał Robert, licząc na to, że Warren przybędzie jak zwykle o dziesiątej rano.

BŁYSKAWICZNA EKSPANSJA

Na krystalicznej ścianie Holanu zaczęły pojawiać się teraz sceny dalszej historii Vancruso. Ich domostwa – dodekaedry – coraz lepiej ze sobą współpracowały, a barbarzyńskie plemię sposobiło się do opuszczenia strefy przyciągania swojej gwiazdy. Prezentacja nie omawiała szczegółów konstrukcji ich narzędzi, czy wdrażania statków do lotów międzygwiazdnych. W bardzo dużym skrócie wielopokoleniowej w końcu historii widać było tylko galopujący rozwój techniczny. Czas tego rozwoju był jednak dużo krótszy niż u innych rozwiniętych cywilizacji gwiazdnych.

Kolejne sceny pokazywały z odległej perspektywy kosmosu, jak plemię Vancruso zdobywa planety z systemów, pozostających w jego zasięgu. Medary, wciąż świetnie współpracujące, robiły się samodzielne. Atakowały w pojedynkę lub grupowo i kolonizowały kolejne światy. Miały jednak ograniczone możliwości. Nie były bowiem w stanie zbliżyć się do planet o atmosferze bogatej w azot, ekstremalnie dla nich toksycznych. Ciała Vancruso nie zawierały białek, tylko silikony i polimery węglowodorowe, ich życie bowiem powstało na bazie krzemu i węgla. Azot w ich kulturze traktowano jak substancję śmierci, a planety z jego wysoką zawartością stanowiły dla nich „piekło kosmosu”. Próbując podjąć współpracę z istotami z nitroświatów Vancruso, wciąż ukrywając swoje ciała, korzystali ze zdalnych interfejsów, robotyki lub hermetycznych baz. Świetnie radzili sobie za to w środowiskach

niedostępnych dla białkowego życia – w tym na bardzo gorących lub bardzo zimnych planetach. W ich systemach nerwowych płynęło przewodnictwo krzemowe, a język opierał się i na dźwiękach, i na sygnałach elektrycznych.

Gdy projekcja na ścianie Holanu zatrzymała się na chwilę, głos zabrał starszy protor:

– Tulmi, jeśli oczekujesz od nas precyzyjnej oceny zagrożenia, jakie niesie ten gatunek, to będziemy bezradni przy tak małej ilości danych technicznych.

Starzec uniósł wieniec z uprzejmością, ale i z nietypowym wigorem.

– Nie, nie oczekuję – odpowiedział. – Wkrótce wyjaśni się, dlaczego odkrywam przed wami, co właśnie do mnie dotarło. Ale zanim to nastąpi, pokażę wam z bliskiej perspektywy aneksję jednej z bezazotowych planet, jakiej dokonali Vancruso.

WSPANIAŁOMYŚLNOŚĆ

Mimo zachęty Cothleya Korwetta nie umiała wciąż przejść do sedna sprawy. Pewnie dlatego, że sama gubiła się w swoich uczuciach. A on nie czekał już dłużej, tylko odtworzył sobie z jej pamięci tę poranną scenę z Robertem.

- Mam przestać, bo blokujesz to przez poczucie winy? – zapytał.
- Nie. Daję ci pełen dostęp – oznajmiła i wysłała taką intencję.

Przez chwilę się nie odzywał, czuła tylko intensywniejsze bicie jego serca. I lekkie drżenie jego smukłych palców na swojej głowie. Z pewnością oglądał moment pocałunku.

- Jeśli czekasz na moją opinię, to podoba mi się – nadał w końcu z trudnym do rozszyfrowania uśmiechem.

Odetchnęła z ulgą i z wdzięcznością. Podniosła spuszczone powieki.

- Nie uważasz, że robię coś niewłaściwego? – wołała dopytać.

Pokręcił głową w bardzo ludzki sposób.

- Nie, bo twój związek z Robertem rozpadł się w trakcie najlepszej wymiany – odpowiedział. – Niewiele zdążyliście razem zbudować.

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie spodziewałabym się tego po kosmicie, ale akurat ty rozumiesz to lepiej, niż ktokolwiek – uznała. – I wiesz, że mało mi to duszy nie wyrwało. Tylko widzisz, Coth, nie bardzo wiem, co się teraz ze mną dzieje. – Obawiała się, że wkracza na niebezpieczny teren. – Bo powoli

wraca mi miłość do niego – poszła za ciosem. – Niezależnie od miłości do ciebie. Co prawda wasz Tulmi uznał, że to normalne kochać wiele istot naraz, a na Uldri to nawet mile widziane... A ty teraz jak to widzisz? – zapytała, gładząc jego wewnętrzną skórę.

Cothley przesunął dłoń po jej włosach.

– Dobrze, że otwarcie o tym mówisz – rzekł z uznaniem. – Bo mogę przyjrzeć się sobie... – Zamilkł na chwilę, ściskając jej ramiona. – Powiniennem podtrzymać dawne zdanie i cieszyć się, że wracają ci pozytywne uczucia do niego. Bo jeśli coś mnoży frekwencję miłości w świecie, musi być cenne. Tylko wcześniej nie znałem cienia dużej bliskości, jakim jest świetnie znana tu na Ziemi zazdrość, która bierze się z obawy o utratę cennego partnera.

Podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Przynajmniej w kilkoro z nich.

– Czyżbyś jednak odczuwał zazdrość? – W jej odegranym zdziwieniu była nuta ironii.

Zaśmiał się, świetnie rozumiejąc, że ona wytyka mu niespójność.

– Powtórzę te trzy warunki, które już dziś cytowałeś – powiedział. – Jesteś zawsze, gdy cię potrzebuję, nie obniżasz wibracji słabą wymianą i z nikim innym nie jest ci lepiej...

– Tak, pamiętam. No i co, czy któryś z nich nie jest dla ciebie spełniony?

– Tak, ten trzeci – odpowiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Mówiłeś, że my posługujemy się tą wyjątkową frakcją trzysta pięćdziesiąt – skomentowała.

Opuścił słupki oczu i rozszerzył je jak wachlarz.

– Owszem, wyjątkową na Uldri, ale na Ziemi się zdarza, choć nie czarujemy się, rzadko – sprostował. – Ale na pewno jest w twojej relacji z Robertem... Zaczekaj! – Uniósł dłoń, bo chciała przerwać. – Nie mam pretensji o to, że jesteście w stanie ją generować, bo byłbym idiotą,

hamując coś, co podnosi ogólną frekwencję Ziemi choćby o ułamek... I wiem też, że nasz przepływ jest ponadczasowy, wieloaspektowy i niezależny od odległości...

– Ale... bo przecież chcesz go użyć – zareagowała na przerwę w jego wypowiedzi.

– Ale jest coś, czego zazdrozczę Robertowi i twojej z nim relacji. I ty świetnie wiesz, o czym mówię.

– Tak, wiem, Coth – odpowiedziała poruszona. – Ale to zazdrość irracjonalna, nie przeskoczmy biologii gatunkowej.

– Owszem – zgodził się. – Więc to naturalne, że musi ci być z nim lepiej jako istocie seksualnie dopasowanej do Ziemianina. Pamiętasz, Tulmi uprzedzał mnie, że nie będzie mi łatwo. Ale wiedziałem to, wchodząc w tak nietypową relację z Ziemianką. – Spojrzał jej w oczy bezbronnie.

Korwetta przyłgnęła do niego tak, by czuć bicie jego serca.

– Bardzo to trudne, kochany? – zapytała. – Nie odstąpiłeś ode mnie, gdy potrzebowałam ratunku. Jestem w stanie zrezygnować ze wszystkiego, co cię rani. – Przesunęła usta po jego skórze, wysyłając bez trudu wibrację czystej miłości.

Cothley wczuł się najpierw w ten przepływ, a potem go wzmocnił swoim własnym.

– Nie będę kłamał, że to łatwe – powiedział. – Ale niczego nie powstrzymuj ze względu na mnie. Wiemy oboje, że nie oszukasz natury i że będziesz tęsknić za ziemską wymianą. A ja nie chcę, żebyś za czymś tęskniła. – Uśmiechnął się do niej. – Skoro zazdrość bierze się z lęku przed utratą, to teraz traci sens, bo i tak cię tracę. Za cztery ziemskie dni.

Korwetta obsypała go pocałunkami. Płynęło to bezwysiłkowo, spontanicznie, swobodnie. Wraz z miłością czuła do niego wielką wdzięczność.

– Coth, będę tęsknić za tobą jak potępieniec – szepnęła z wilgotnymi oczyma. – Może bardziej, niż zdaje sobie sprawę.

– Ja też będę gdzieś tam... za tobą tęsknił... wiedząc na szczęście, że z kimś tutaj jest ci dobrze – powiedział, tuląc ją. – Ty wśród Ziemian masz szansę doświadczać scalenia wraz z wysokim przepływem mimo waszego krótkiego życia, ja na Uldri nie...

– Ale – przerwała – przecież kontaktujesz się z wieloma rasami. Mówisz, że spora część z nich jest rozdzielnopłciowa. Czy one w bliskości cielesnej nie generują trzysta pięćdziesiąt?

Cothley zastanowił się.

– Wiesz, jako mało humanoidalni nie wchodziliśmy w bliskie relacje z humanoidami, jesteście pierwsi... Może faktycznie czas na podążanie ku tym rasom? Bo to one rozwinęły energetykę towarzyszącą takiej wymianie.

Korwetta zachnęła się mimo woli.

– Pierwsze, co mi przyszło, Coth, to: „ja ci podążę!” Natychmiast szarpnęła mną zazdrość, że się zwiążesz z jakąś Arkturianką albo Plejadianką, z którą ci będzie lepiej. Ale też spróbuję być wspaniałomyślna i życzyć ci maksymalnej bliskości, choć już beze mnie...

Cothley roześmiał się szczerze.

– Gdyby nawet to się zdarzyło, to przecież z humanoidem odtworzę problem z tobą – rzucił już z lekkością. – Jedyne nadzieje w naszej ewolucji. – Udał powagę. – Albo czas posłuchać głosu rozsądku i darować sobie ekstrema, żeby, jak to wy mówicie, mi się w głowie nie poprzewracało lub jeszcze gorzej.

Wybuchnęła śmiechem, ale musiała przyznać, że nieźle wyraził swój dylemat.

BEZAZOTOWA ZAGŁADA

Oko niewidzialnej kamery, czy może oko wglądu Tulmiego, omiotło powierzchnię planety Osyth – nieznanego Uldryjczykom świata, na którym trwała noc. Tę noc rozświetlił nagle nienaturalny blask, a ciszę przerwał przeraźliwy pisk atmosfery, rozdzieranej przez obce maszyny. Niebo zapłonęło, gdy pierwsze dodekaedry – potężne, geometryczne statki najeźdźców – przecięły chmury. Sunęły teraz nad krystalicznymi lasami i lśniącymi rzekami. Z ich ścian wystrzeliwały niebieskawe języki plazmy, zostawiając na powierzchni globu głębokie wyrwy – blizny nie do zagojenia.

Mieszkańcy Osyth, istoty o elastycznych, niemal płynnych ciałach, zbudowanych na bazie matryc węglowo-siarkowych, powstałi nagle z ciepłego piasku, który służył im za posłanie, i unieśli ku niebu swoje wielofasetowe głowy. Ich smukłe formy zaczęły drgać, przekazując sobie ostrzeżenie w postaci fal dźwiękowych. Wiedzieli, że nadszedł kataklizm, ale nie rozumieli jego natury. Do tej pory żaden obcy nie nawiedził ich świata.

Ściany dodekaedrów rozchyliły się niczym płatki kwiatów, wypuszczając chmury metalicznych robotów. Chwilę później po wysuniętych trapach wypelzły kolcogłowe robaki. Ich segmentowane ciała lśniły jak oszlifowany obsydian, a każde ich ruchome odnóże kończyło się szczypcami ostrymi jak sztylety. Oczy – jeśli to właściwa nazwa – migotały pod powierzchnią ich błyszczących egzoszkieletów, skanując otoczenie ultrafioletem.

Ich pierwszym celem były kolonie żyjących kryształów – fundamentów ekosystemu Osyth. Robaki potrzebowały ich energii. Zdecydowały się pozyskać ją na miejscu, przez spalenie i wchłonięcie kolonii. Powierzchnia planety pokryła się popiołem, gdy plazmowe włócznie przebijały krystaliczne pnie i rozbijały ich strukturę. To, co nie spłonęło, zostało rozszarpane i wrzucone do pulsujących jam w pancerzach Van-cruso. Ich enzymatyczne wnętrzości przekształcały surowiec w struktury kompatybilne z ich biologią.

Osythańczycy wpadli w panikę. Nie znali wcześniej ognia ani dymu. Gdy więc eksplozje płomieni pochłaniały ich osady, umierali, nie rozumiejąc, co ich spotyka. Ich płynne, fosforyzujące ciała parowały i osypywały się w formie pyłu.

Ludność Osyth, od pokoleń rozwijająca się w harmonii ze swoim światem, nie miała żadnej broni. Próbowwała ucieczki, ale ta okazała się bezowocna. Robaki były szybkie i metodyczne. Wciągały uciekinierów w swoje chitynowe trzewia. Pozostałych chwytaly, by poddać ich zimnym, analitycznym eksperymentom i bezwzględny torturom.

Powierzchnia planety szybko pokryła się czarnym, matowym polimerem. Atmosferę przesiąknęły drobinki krzemowego pyłu, dusząc wszystko, co nosiło ślady życia. Krystaliczne dżungle zniknęły, a dodekaedry uniosły się nad spalonymi ruinami, triumfując nad kolejnym zdobytym światem.

SPRAWA RODZINNA

Adam Bryniarski dotarł do domu i wszedł na teren posesji przez bramkę ogrodu. W widocznej stąd oświetlonej kuchni dostrzegł rodziców dyskutujących z nietypowymżywieniem. Przemknął szpalerem rododendronów i wszedł do budynku tylnym wejściem, mając nadzieję, że ojciec z matką nie usłyszą go od razu i nie przerwą rozmowy.

Stąpając cicho korytarzem, zdążył się zorientować, iż matka zarzuca ojcu, że ten nie słucha głosu rozsądku ani własnego dowódcy, chcąc jutro ogłosić coś, co skompromituje całą ich rodzinę. Wykrzyczała mu też, że to zgubny wpływ Korwetty, z którą się szlaja. Ojciec tłumaczył, że nie może zataić krytycznej informacji, bo to nie jest sprawa rodzinna tylko globalna, ale przez to, że mówił ciszej, nie wszystko dało się zrozumieć. Adam przyspieszył kroku, chcąc szybko dotrzeć do zamkniętych drzwi.

Niestety zastał pod nimi podsłuchującą Kitty. Siostra pisnęła cicho, gdy wyłonił się z korytarza i posłała mu niechętny uśmiech. Obrzuciła przy tym całą jego postać wzrokiem, który miał coś znaczyć, i zmarszczyła twarz z wyrazem niesmaku. Pochłonięty rozmową toczącą się za drzwiami nie odczytał sugestii siostry. Nie chcąc podsłuchiwać w jej towarzystwie, postanowił przekroczyć próg i włączyć się do dyskusji. Obawiał się jednak, że rodzice zmienią wtedy temat.

Nacisnął klamkę i wkroczył do kuchni. Kitty wślizgnęła się za nim. Rodzice zamilkli, a na ich twarzach odmalowało się zdziwienie. Siostra rzuciła:

– Tato, wyglądasz tylko trochę lepiej niż Adam!

Chłopak najpierw zainteresował się wyglądem ojca. Rzeczywiście miał on na bluzie munduru jakieś ciemne plamy – zapewne te, o których wspominała Korwetta. Adam stwierdził jednak, że swoją osobą wywołuje większe zdumienie. Powiódł wzrokiem po własnym ciele i... no tak, przecież wytarzał się pod bolidem. Błoto zdążyło już zaschnąć na kobaltowym mundurze, pozostawiło jednak brunatne zacieki. Matkę замуrowało, wiedział jednak, że tylko na chwilę. Ojciec z dozą zainteresowania zaszedł go od tyłu. Ściągnął wtedy usta z wyrazem niedowierzania. Tak, plecy były najgorsze.

– Deszcz zrobił błoto pod uldryjskim statkiem – wyjaśnił Adam z niewinnym uśmiechem, który szybko przekształcił w wyraz przygany. – Wstyd przed gośćmi, że automaty nie nadążają ze sprzątaniem!